

Hiszpania (1967-1968 r.). Część II.

Ameryka Łacińska, Hiszpania i Portugalia oczami polskiego iberysty



Kadyks

Dziennik z podróży ukazuje się w drugi czwartek miesiąca

Zygmunt Wojski

Nadspodziewanie dobrze ułożyło mi się wszystko po powrocie do **Madrytu**. Znalazłem ciekawą pracę w redakcji pisma *Español Actual* (Współczesny Język Hiszpański) i w sekretariacie Międzynarodowego Biura Informacji i Badań nad Językiem Hiszpańskim (OFINES). Cztery miesiące później, w styczniu 1968 roku, zostałem dodatkowo sekretarzem Szkoły Badań Lingwistycznych (*Escuela de Investigación Lingüística*). Wszystkie te instytucje mieściły się w Instytucie Kultury Hispanistycznej (obecnie Instytut Współpracy Iberoamerykańskiej), na terenie Miasteczka Uniwersyteckiego. Zamieszkałem u profesora Leandro Tormo (1922 – 2011), zajmującego się historią Ameryki. Wykładał na madryckim Uniwersytecie

Complutense historię hiszpańskich instytucji kościelnych w Ameryce. Jego żona Catalina, zwana Neną, jest Filipinką, zresztą była studentką Leandra. Funkcjonował tam wówczas mini akademik dla studentów z Filipin. Przypadkowo i ja się w nim znalazłem. Było to wszystko dość malownicze. Jeden z dwóch Filipińczyków, Víctor (drugi miał na imię Fernando), miał prześliczną dziewczynę, którą nazywał Baby. Oczywiście, często przebywał w jej towarzystwie. Dbał jednak o pozory i kiedyś wychodząc z domu, rzekł: „Idę do biblioteki”. Ledwie znalazł się za progiem, usłyszałem jak jedna z jego koleżanek powiedziała drugiej: „Víctor znów poszedł do babyteki” i zaczęły obie chichotać.



Halina Łukomska, sopranistka
(1929-2016).

Filipinki pięknie i często śpiewały. Nauczyły mnie kilku piosenek w malajskim języku *visaya*, który używany jest na wyspie Cebú (środkowe Filipiny). W rewanżu nauczyłem ich (także Leandra i obu Filipińczyków) paru piosenek polskich, w tym kolęd. Dotychczas doskonale pamiętają słowa i chętnie je śpiewają. Zimą koncertowała w **Madrycie** Halina Łukomska (1929 - 2016). Wybrałem się na jej recital do Palacio de la Música przy centralnej arterii Gran Vía. Gdy po koncercie

poszedłem za kulisy, by jej złożyć gratulacje, zawołała:

Jakże się cieszę, że pan tu przyszedł! Proszę, niech pan mnie stąd zabiera czym prędzej! Żle się czuję. Mam ich dosyć! Uciekajmy! Dokąd pan chce, byle szybciej!

Zostawiła karteczkę z jakąś wiadomością po włosku i szybko wybiegliśmy z teatru. Okazało się, że jej hotel znajduje się bardzo blisko mojego mini akademika. Postanowiłem więc zaprowadzić ją do nas. Filipinki były olśnione i prosiły ją, by coś zaśpiewała. Aliści Halina Łukomska, jak każda gwiazda, usprawiedliwiała się jakąś niedyspozycją i w efekcie to one wystąpiły przed nią z recitalem piosenek śpiewanych... po polsku! Żeby było ciekawiej, pani Halina Łukomska, jak mi powiedział nasz wspólny znajomy, pianista Jerzy Romaniuk, doskonale pamiętała tę całą przygodę!

Z Leandrem odbywałem długie rozmowy po każdej wyprawie (a starałem się wykorzystać każdy weekend, by poznać jakąś nową ciekawą miejscowość), roztaczając przed nim moje zachwyty, a on uzupełniał moje wiadomości masą dodatkowych informacji. Te rozmowy przebiegały niczym w jakimś transie, zapamiętaniu i to zarówno z jego jak i mojej strony. Jeździłem głównie autostopem. Bywało z tym różnie: czasem sterczałem na skrzyżowaniu po kilka godzin, zanim coś się zatrzymało. Było to dość męczące. Wynajmowałem pokoje w najtańszych hotelikach, mieszczących się zwykle w starych domach. Frapującą ciekawostką było to, że w szafkach nocnych przy łóżku znajdowałem zawsze pojemny i elegancki, często porcelanowy i pomalowany w kwiatki... nocnik! Gdy po raz pierwszy dokonałem tego zdumiewającego dla mnie odkrycia, nie ukrywam, że przeżyłem lekki szok. Potem stało się to już czymś zupełnie normalnym.



Cáceres nocą, fot. David Hdez.

Zapamiętałem wyprawy do **Cáceres** (otoczone murami, pełne starych warownych rezydencji średniowieczno-renesansowe miasto w Estremadurze), **León** (stolica dawnego królestwa o tej samej nazwie, z gotycką katedrą o najpiękniejszych w Hiszpanii witrażach i cudowną romańską bazyliką św. Izydora, z ciekawymi freskami), **Burgos** - stare kastylijskie miasto na północy, z piękną gotycką katedrą, **Sigüenza** w Nowej Kastylii, słynąca w całej Hiszpanii z cudownej alabastrowej rzeźby pólężącego rycerza Martína Vázqueza de Arce, poległego w roku 1486 w jednej z bitew przeciwko Maurom pod Grenadą. Rycerz pogrążony jest w lekturze, co w owym czasie było jedynie przywilejem osobistości ze stanu duchownego. Ten oryginalny nagrobek rozczytanego rycerza znajduje się w jednej z kaplic miejscowej katedry. Dużym przeżyciem była wyprawa do Kamiennego Klasztoru (*Monasterio de Piedra*) w **Aragonii**. Założony w XII wieku przez króla Aragonii, Alfonsa II, stał się potem siedzibą cystersów, którzy zostawili po sobie między innymi przepiękny ołtarz - relikwiarz w stylu mauretańskim z roku 1390. Klasztor znajduje się w niezwykle malowniczym miejscu, gdzie rzeka Piedra tworzy oazę pełną wodospadów, strumieni i stawów na dnie skalnego urwistego wąwozu.



Cuenca wieczorem.

Żadne z tych wspaniałych miejsc nie zrobiło na mnie jednak takiego wrażenia jak **Cuenca** we wschodniej **Kastylii**. Pojechałem tam jesienią. Zatrzymałem autokar wiozący młodzieżową trupę teatralną wracającą z tournée do rodzinnego miasta **Cuenca**. Wystawiali (nie pomnę już gdzie) sztuki modnego wówczas dramaturga Alfonso Sastre. Spośród aktorek najbardziej przypadła mi do gustu wesoła i ładniutka Marisol. Do miasta przyjechaliśmy nocą. Znalazłem jakiś maksymalnie tani pokój i wybrałem się na nocny spacer. Miasto leży na wysokim skalistym cyplu, który opływa z obu stron w bardzo głębokich i krętych wąwozach skalnych dwie rzeki: Júcar i Huécar. Domy wiszą nad nimi dosłownie na samym skraju przepaścistych skarp. Cudownie oświetlone lekko zielonkawym światłem skalne urwiska, domy i kościoły na nich uczone, a niżej złote liście smukłych topoli tworzyły urzekający obraz zupełnie baśniowego miasta, czegoś zgoła nierealnego i bardzo tajemniczego w owej cudownej ciszy nocnej. A jednak można było znaleźć ciszę w tej piekielnie hałaśliwej Hiszpanii.



Cuenca

Nazajutrz wybrałem się z Marisol do tak zwanego „Zaczarowanego Miasta” skalnego (*Ciudad Encantada*), jakieś 30 km od **Cuency**. Wdrapaliśmy się na wysoką platformę skalną pociętą głębokimi rozpadlinami i siedząc na skraju przepaści podziwialiśmy fantastyczne formy skalne: grzyby, słonie, baszty, oczarowani tym niesamowitym pejzażem. U podnóża skał, tuż pod nami, przechodziła właśnie grupka eleganckich, wystrojonych pań. Marisol krzyknęła nagle z wysoka przenikliwym głosem: „Ojej, wąż!” (naturalnie, żadnego węża nie było). „Gdzie, gdzie? Uciekajmy!” – wołały zatrwożone paniusie rozpierzchnąwszy się jak przepiórki.



Ciudad Encantada czyli Zaczarowane Miasto Skalne, fot. spaincenter.org.

W Wielkim Tygodniu pojechałem do **Sewilli** obejrzeć słynne procesje wielkanocne. Chyba pół Hiszpanii tam się zjechało, nie licząc ogromnej ilości cudzoziemców. Wszystkie hotele były przepełnione, nawet kwatery prywatne pękały w szwach. W tej awaryjnej sytuacji skorzystałem z zaproszenia pana Jerzego Chmielewskiego z Białegostoku, który od lat mieszkał w Sewilli z piękną żoną Carmen i okazałym stadkiem dzieci. Same procesje byłyby niewątpliwie ciekawe, gdyby nie te nieprzebrane tłumy! Andaluzijskie madonny - Macarena, Matka Boska z Triany i inne - obnoszone po mieście przy akompaniamencie śpiewów wykonywanych na ich cześć z balkonów czy z otwartych okien (pieśni te zwą się *saetas*), realistyczne posągi Chrystusa dźwigającego krzyż, niesione na barkach licznych pokutników, wszędzie morze płonących świec - to bardzo poruszająca sceneria, ale tłum napierał, deptał po piętach, rozpychał się niebywale, co było dla mnie dyskomfortem nie do zniesienia. Jedno jeszcze zapamiętałem: cudowny, słodki zapach kwiatów pomarańczy wokół katedry i na ulicach Sewilli. Pełnia ich kwitnienia przypada właśnie na okres Wielkiego Tygodnia. Tak intensywnego i wspaniałego zapachu nie

czułem nigdzie indziej na ulicy.



Arcos de la Frontera. Zamek i kościół.

Z **Sewilli** pojechałem dalej na południe. Dopiero wówczas udało mi się zwiedzić **Arcos de la Frontera** i poznać markizę de Tamarón, która mieszkała w zamku, na samym końcu miasteczka. Na przeciwnym krańcu jest kościół, a łączy je właściwie jedyna w mieście ulica biegnąca grzbietem wysokiego wzgórza. Zameldowałem się najpierw u markizy. Dała mi półtorej godziny na zwiedzanie, po czym prosiła na obiad. Markiza była z pochodzenia Angielką i gdy wszedłem, grała w karty ze swoją znajomą, także Angielką. Ze mną rozmawiała wyłącznie po francusku. Na obiedzie była dość pocieszna sytuacja. Siedzieliśmy we trójkę przy bardzo długim owalnym stole zajmującym prawie całą mroczną jadalnię: markiza de Tamarón na jednym jego krańcu, jej znajoma - na przeciwnym, a ja pośrodku od strony okna. Markiza dzwoniła co chwila małym dzwoneczkiem wzywając obsługującą nas pokojówkę. Ileż ta biedaczka musiała się nabiegać wokół tego olbrzymiego stołu, by obsłużyć „aż” troje biesiadników!

Dotarłem wtedy jeszcze do słynnego centrum uprawy winorośli, **Jerez de la Frontera**, skąd pochodzą wspaniałe wina, jedno z najbardziej cenionych w całej **Hiszpanii**, a także do **Kadyksu**, ważnego portu na samym południu **Andaluzji**, już nad Oceanem Atlantyckim. **Kadyks** leży na półwyspie połączonym wąziutkim przesmykiem ze stałym lądem. Zewsząd otoczony morzem, ma charakter zbliżony do

Starej Hawany: podobna architektura, balkony, kraty w oknach. Dwa najbardziej aktywne porty hiszpańskie w okresie kolonialnym to właśnie **Kadyks** i **Sewilla**. To głównie stąd wyruszały do Ameryki hiszpańskie statki. **Kadyks** to dla Hiszpanów „srebrna filiżaneczka” (*la tacita de plata*), bo podobno ją przypomina, gdy się patrzy na miasto od strony oceanu.



Peñíscola.



Peñíscola po burzy.

Z dalszych wypadów wymienię jeszcze miniaturkę Kadyksu, miasteczko **Peñíscola**, na wschodnim wybrzeżu, na północ od **Walencji**. Jak jego katalońska nazwa wskazuje, leży na skalistym wzniesieniu, połączonym ze stałym lądem bardzo wąskim przesmykiem. W zamku na samym szczycie rezydował Pedro de Luna, czyli antypapież Benedykt XIII, żyjący na przełomie XIV i XV wieku. Blżej **Walencji**, w **Sagunto**, zachwylił mnie teatr rzymski. Wyglądał wówczas pięknie, z kępami opuncji na pierwszym planie zachowywał swój dawny charakter. Niestety, w latach 80. i 90. XX wieku dwóch włoskich architektów dokonało całkowicie nieudanej rekonstrukcji, zacierając oryginalne ślady tego wspaniałego rzymskiego zabytku. Na południe od **Alicante**, w **Elche**, obejrzałem największy na Półwyspie Iberyjskim las palm daktylowych. Wcześniej zwiedzałem samą Walencję i oglądałem słynne *fallas* (konstruowane na ulicach miasta satyryczne sceny z kukłami z kartonu i *papier mâché*; podpala się je przy akompaniamencie rakiet i petard co roku nocą z 19 na 20 marca w ramach tak zwanego Święta Ognia). Najładniejsze sceny są uwolnione od spalania i wzbogacają kolekcję słynnego muzeum kukieł w **Walencji**. Spośród zabytków antycznych podziwiałem także wspaniałe ruiny i teatr rzymski w **Mérida**

w Estremadurze.



Mérida. Teatr rzymski.

Na dwa miesiące przed opuszczeniem Hiszpanii przeniosłem się do nowo otwartego akademika dla studentów z Kolumbii (*Colegio Mayor Colombiano*), przy Alei Seneki w Miasteczku Uniwersyteckim. Warunki były dla mnie znacznie korzystniejsze, niż u Leandra: towarzystwo studentów z Ameryki Łacińskiej, indywidualny pokój z umywalką, stołówka na miejscu. Niestety, jedzenie w stołówce wkrótce się popsuło: personel zaczął nas po prostu okradać i serwowano byle co i byle jak. Zdesperowani postanowiliśmy w końcu zwołać zebranie z udziałem kierownictwa, by zaprotestować przeciwko takiemu stanowi rzeczy. Nigdy tego nie zapomnę! Jeden z Meksykanów oświadczył krótko i dobitnie:

Przyjechaliśmy do Hiszpanii między innymi po to, by poznać jej kuchnię, ale jeśli ta kuchnia jest właśnie taka, to jest po prostu beznadziejna, do niczego!

Po nim wstał mój kolega ze Szkoły Badań Lingwistycznych, Argentyńczyk Emilio Arrimondi Pieri, wysoki, zawsze nienagannie ubrany i wybrylantynowany, jak przystało na typowego mieszkańca **Buenos Aires**. Moja hiszpańska przyjaciółka Conchita mówiła o nim, że tak sobie właśnie wyobraża zawodowego wykonawcę tang argentyńskich. Z włoską śpiewnym i przeciągłym głosem po aktorsku zakomunikował:

Kurczak, którego nam wczoraj podano, był o krok od zmartwychwstania!

Cała stołówka zatrzęsała się od śmiechu. Wizja owego kurczaka rozbawiła nawet kierownika naszej rezydencji...

Warto dodać jeszcze parę słów na temat kursu w Szkole Badań Lingwistycznych. Trwał 6 miesięcy: od stycznia do czerwca. Uczestnikami byli młodzi lingwiści z Hiszpanii i Ameryki Łacińskiej, wśród nich przedstawiciele Argentyny, Chile, Brazylii, Peru, Kolumbii i Panamy. Mieliśmy tak znakomitych wykładowców jak Rafael Lapesa, Manuel Alvar, Antonio Tovar, Eugenio de Bustos, wybitny poeta hiszpański Dámaso Alonso, Manuel Criado de Val oraz znani mi już z Malagi Bernard Pottier i Eugenio Coşeriu. Jako sekretarz kursu osobiście ustalałem z wykładowcami harmonogram wykładów i byłem z nimi w kontakcie. Kiedyś zaszczyił mnie swą wizytą w biurze Dámaso Alonso. Zdziwił się widząc nową twarz i zapytał, skąd jestem i jak mam na imię. Żywiłowo zareagował słysząc moje imię (bardzo pozytywny bohater dramatu *Życie jest snem* Calderona to królewicz Zygmunt) i oświadczył z uśmiechem: „Mam wielki podziw dla Zygmuntów!”



Rzym. Kapitol i pomnik Marka Aureliusza.

Mój paszport tracił ważność w pierwszych dniach lipca. By zdążyć na czas do Polski musiałem wyjechać z **Madrytu** w połowie czerwca, jeszcze przed końcem kursu. Wracalem przez **Barcelonę**, skąd statkiem do **Genui**, potem już pociągiem do **Rzymu**, który chciałem koniecznie poznać, stamtąd do **Mediolanu** i przez **Wenecję**, **Wiedeń** i **Koluszki** do **Skierniewic**. W **Barcelonie** urzekła mnie stara Dzielnica Gotycka i przepiękna aleja Las Ramblas z szerokim pasem pośrodku, gdzie sprzedają kwiaty i ptaki w klatkach. O **Rzymie** można by bardzo długo. Powiem tylko, że miałem strasznego pecha: gdy wchodziłem po monumentalnych schodach na Kapitol, jakiś niegościnnie owad użądlił mnie w oko przecinając rogówkę. Ból upiorny! Nie obeszło się bez wizyty w szpitalu i nieprzewidzianych wydatków. Mimo to, zwróciłem Calvertowi Caseyowi pieniądze za bilet kolejowy. W **Mediolanie** zamieszkałem u koleżanki z kursu w Maladze, przemiłej Włoszki Arielli dal Seno. Jej mama znała słoweński i w tym języku zwracała się do mnie. Zwiedziłem, naturalnie, olbrzymią śnieżnobiałą katedrę mediolańską *Il Duomo*, kościół Matki Bożej Łaskawej (*Santa Maria delle Grazie*) z freskiem „Ostatnia Wieczerza” Leonarda da Vinci, a nawet

byłem w La Scali na koncercie słynnej śpiewaczki Elisabeth Schwarzkopf (1915 – 2006). Stać mnie było jedynie na bilet na najwyższym z balkonów i patrząc na scenę miałem wrażenie, że spoglądam na samo dno jakiejś bardzo głębokiej studni.



Mediolan. Fronton katedry.



Mediolan. Katedra.

W konsulacie austriackim w **Mediolanie** z przerażeniem dowiedziałem się, że będę musiał zapłacić jeszcze za austriacką wizę tranzytową: były to już moje całkiem ostatnie pieniądze... Wracałem po rocznym pobycie w Hiszpanii z dwoma dyplomami, dużą ilością książek i znacznym bagażem wiedzy o języku, literaturze i kulturze tego kraju. Przyznać muszę, że ta wiedza bardzo mi się w przyszłości przydała.

Fotografie pochodzą z serwisu Flickr

Hiszpania, część I:

<http://www.cultureave.com/hiszpania-1967-r-czesc-i/>

Zygmunt Wojski, „Od Łupi do Parany i Amazonki”, s. 165. Impresje polskiego iberysty z podróży naukowych do Ameryki Łacińskiej, Hiszpanii i Portugalii, dotyczące historii i kultury odwiedzanych krajów.

Wydawców zainteresowanych publikacją książki prosimy o kontakt z redakcją Culture Avenue.

Galeria



Burgos. Widok ogólny z katedrą.



Burgos. Katedra.



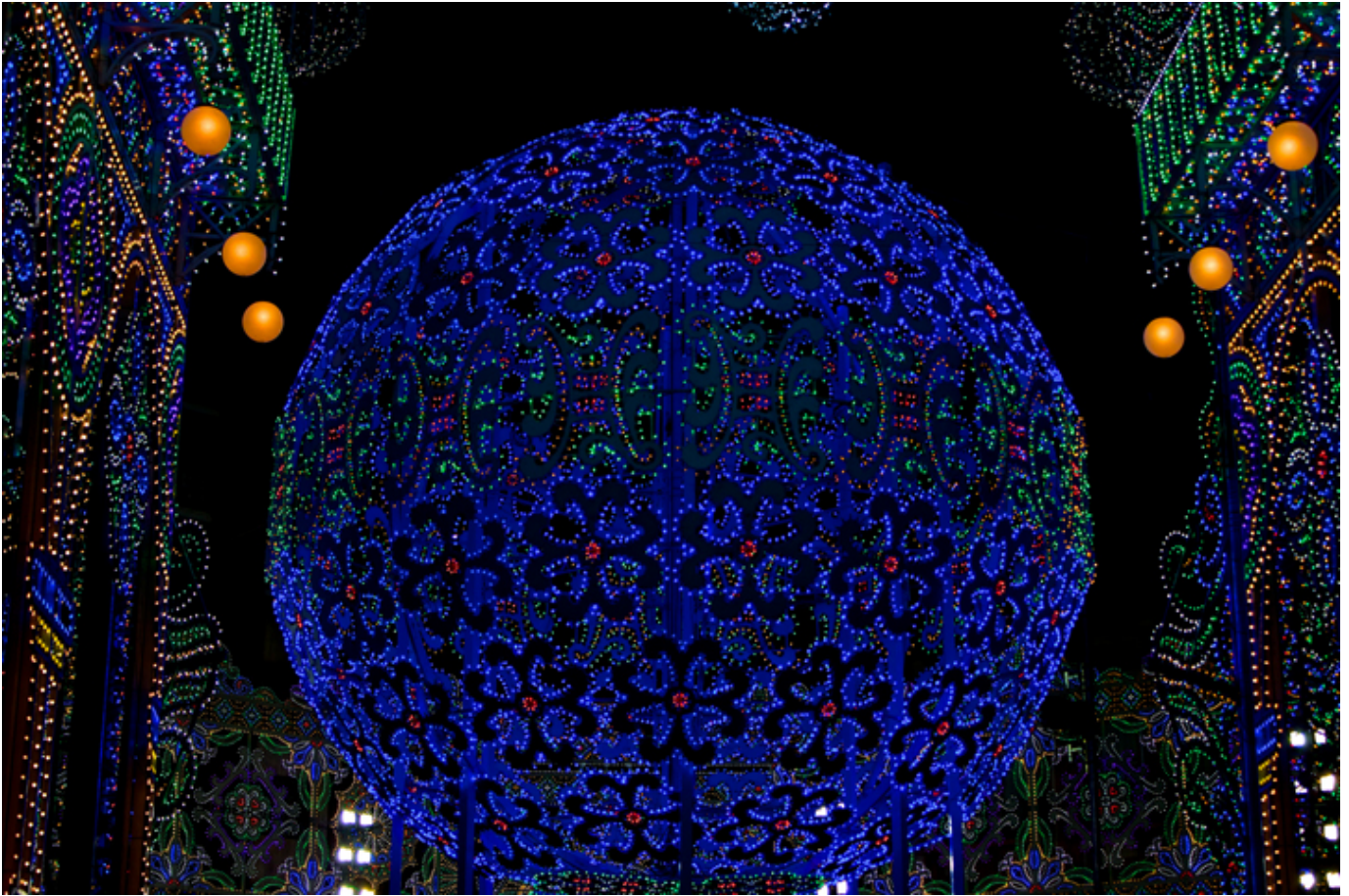
Burgos. Kaplica św. Anny w ołtarzu głównym katedry.



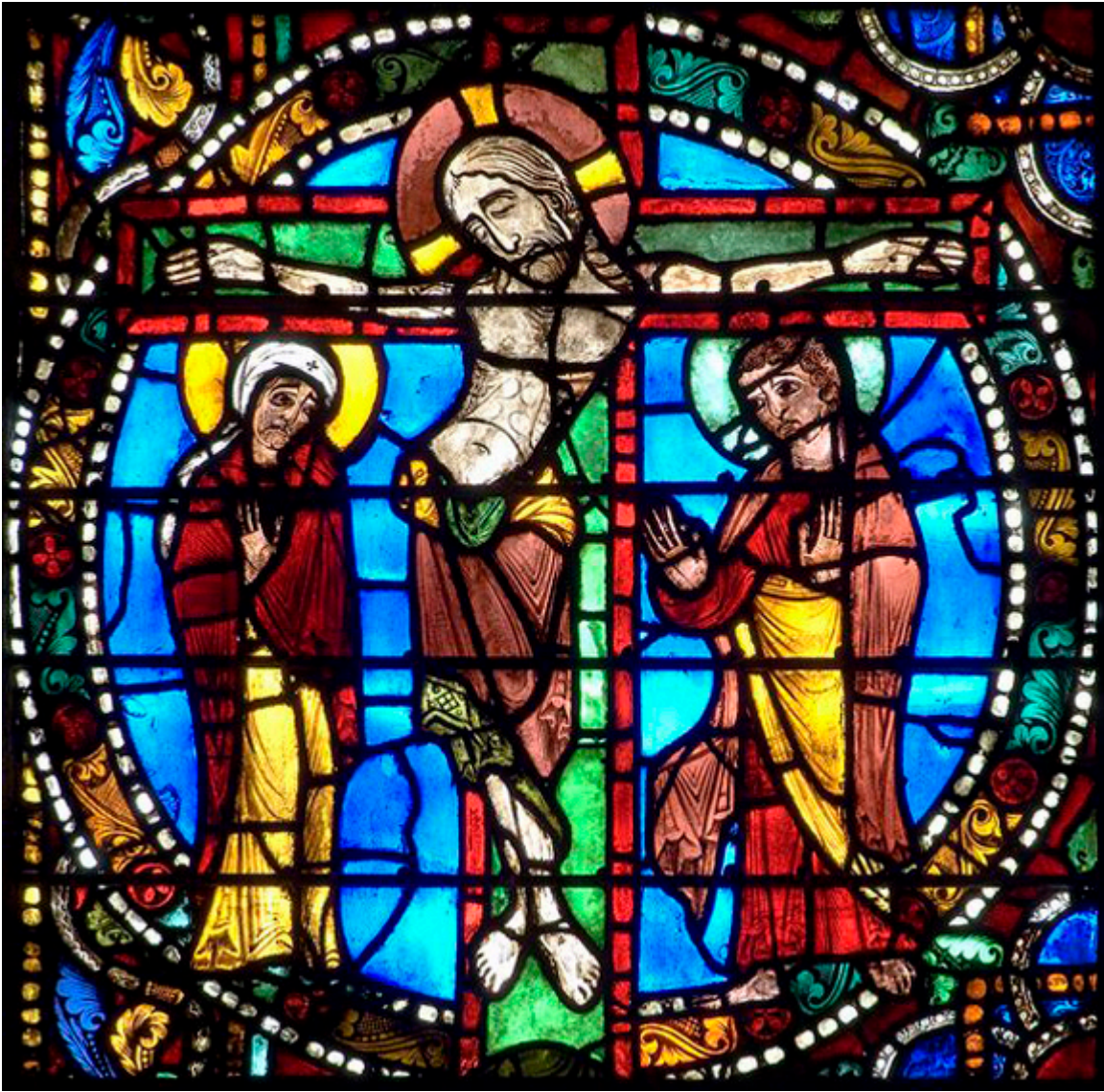
Monasterio de Piedra (Kamienny Klasztor w Aragonii).



Ciudad Encantada.



Walencja. Iluminacja przed Świętem Ognia.



Katedra w León. Witraż,



Relikwiarz mauretański w Monasterio de Piedra.



León. Kolegiata św. Izydora, fot. John Gallastegui.



León. Kolegiata św. Izydora. Panteon Królewski. Malowidła.



Katedra w Sigüenza. Czytający rycerz Martín Vázquez de Arce.



Barcelona. Dzielnica gotycka.



Barcelona. Architektura modernistyczna.

Poprzednie części wspomnień z podróży Zygmunta Wojskiego:

<http://www.cultureave.com/od-lupi-do-parany-i-amazonki-czesc-i/>

<http://www.cultureave.com/od-lupi-do-parany-i-amazonki-czesc-ii/>

<http://www.cultureave.com/od-lupi-do-parany-i-amazonki-czesc-iii/>

<http://www.cultureave.com/argentya-i-paragwaj/>

<http://www.cultureave.com/brazylia-argentya-urugwaj/>

<http://www.cultureave.com/meksyk-gwatemala-honduras/>

<http://www.cultureave.com/pierwszy-pobyt-na-kubie/>

<http://www.cultureave.com/hiszpania-1967-r-czesc-i/>